

SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 18, MARZEC 2021



Uniwersyteckie I Liceum Ogólnokształcące
im. Juliusza Słowackiego
ul. Dąbrowskiego 36, Chorzów

Drodzy Czytelnicy,

z ogromną radością udostępniamy Wam marcowe wydanie czasopisma kulturalno-literackiego SŁOWAk. Czas leci nieubłaganie szybko, minął dokładnie rok od wybuchu pandemii w naszym kraju. Niestety nie możemy się jeszcze spotkać w murach naszej szkoły, aczkolwiek to nie przeszkadza Nam wszystkim (młodym artystom) w tworzeniu, dlatego też po pracowitym miesiącu gorąco zachęcamy do zapoznania się z tym wszystkim, co dla was przygotowaliśmy. Jarosław Iwaszkiewicz, polski poeta oraz współtwórca grupy poetyckiej Skamander, powiedział kiedyś, że: *Książki bez czytelnika nie można sobie wyobrazić, tak jak i samo pojęcie „czytelnik” uzależnione jest od książki*, dlatego też bardzo dziękujemy, że chcecie wraz z nami współtworzyć to czasopismo.

Redakcja

A co mamy dla Was w tym marcowym wydaniu?

Karolina Grzesik oraz Jan Migalski w swojej twórczości poetyckiej prowokują do przemyśleń nad kondycją człowieka we współczesnym świecie.

W dziale **proza** możecie znaleźć pierwszą część opowiadania Piotra Breguły, które w przyszłości będzie kontynuowane, dlatego też gorąco zachęcamy do śledzenia losów nowych bohaterów.

Dla miłośników literatury (i nie tylko) Marta Banaś przeprowadziła wywiad z Patrycją Gryciuk, autorką powieści obyczajowych, entuzjastką ekologii oraz idei slow-life. Jeżeli poszukujecie powieści na wiosenne wieczory to Edyta Fragsztajn poleca książkę Kate Atkinson – *Jej wszystkie życia*.

W dziale **Varia** dla miłośników podróży Honoriusz Morawiec przygotował krótki pamiętnik, znajdziecie w nim opis pięknych okolic Zanzibaru oraz cenne informacje dotyczące tamtejszej kultury. Warto również przeczytać tekst Darii Klyty, która pokazuje nam jak wielkie znaczenie może mieć jedna, pusta kartka. Natomiast Marta Pokluda dzieli się swoimi przemyśleniami po wakacyjnej wycieczce do pięknej polskiej wsi – Białowieży, która wywarła na niej ogromne wrażenie i skłoniła do kilku ważnych refleksji. Na sam koniec nie mogło zabraknąć *Dzienników szkolnych* Espantajo, jak zawsze ukazujących życie szkolne z innej perspektywy.

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Karolina Grzesik

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Dziennikarze: Maria Smorczewska

Projekt okładki: Maria Pięta

Spis treści

Poezja

Karolina Grzesik

jutrzienka (str. 5)

Jan Migalski

Pandemonium (str. 6)

Proza

Piotr Breguła

Intro (str. 8)

Wywiad

„Nasza epoka sama w sobie jest ekologicznym wyzwaniem” –

z Patrycją Gryciuk rozmawia Marta

Banaś (str. 12)

Recenzja

Edyta Fragsztajn

Kate Atkinson – „Jej wszystkie życia” (str. 16)

Varia

Honoriusz Morawiec

Zanzibar przed pandemią- zapiski z pamiętnika (str. 19)

Daria Klyta

Pusta kartka (str. 24)

Marta Pokluda

Białowieża (str. 26)

Espantajo

Dzienniki szkolne (str. 30)

POEZJA

Karolina Grzesik

jutrzenka

czy to nie dziwne
że tak po prostu upadłeś
bez okrzyków
bez dźwięków muzyki
stoczyłeś się niezgrabnie po pagórku
niezauważalnie
na początku istnienia świata
utonąłeś w odrobinie wody
zapomniany z imienia
strącony przez wszystkich
nie proszący o odkupienie
i wyciągnięcie z ciemności
osamotniony grzesznik
złamany wybawiciel narodów

Jan Migalski

Pandemonium

Gdzie znalazł się diabeł?
Wędrował po duszach zgubionych
i dalekich od powrotu do domu.
Czy to wina demonów rozpusty?
Czy może zakłopotania ludzkich uczuć?

Gdy żyjesz musisz płakać,
zatem Lucyferze, dlaczego wstąpiłeś w moją duszę?
Ugościłeś się, tworząc nowe Pandemonium płaczu.
Jednakże cóż poczniesz ze swymi sługami?
Nie mogą oni osiąść na laurach żywotu wiecznego.
Gdyż to Ty odpoczywasz w komnatach rozpusty.

Zjednoczysz się z Bogiem?
Czy zachowasz równowagę istnienia, zagłębiając się
w zabłąkanych duszach?

PROZA

Intro

Piotr Breguła

- Co pan może powiedzieć o swoim nowym dziele? - spytał kiedyś pewien dziennikarz.
- Jest taki żart o dwóch krowach.
- Proszę opowiedzieć.
- No więc dwie krowy pasły się na polu minowym. Pasą się i pasą, aż jedna zaczęła mordą o minę. I sruuuuu! Wszelkie proporcje się rozjechały. Nogi wygięły się na lewą stronę. Szata zmieniła kolor na fioletowy, zielony, a potem sraczkowate himmelblau, śledziona wyleciała przelykiem, a trzustka lewym okiem. Dziennikarz się uśmiechnął, był to jednak uśmiech częściowo wymuszony.
- Wtedy druga krowa odwraca się i mówi - „Ty się śmiesz a ja się wystraszyłam!”.
- Dziennikarz w śmiech.
- Co to ma do rzeczy? - pyta.
- Tak jakby nad tym pomyśleć to nie wiem.

Prolog

Nadszedł długo oczekiwany czerwiec. Roślinność przybrała ciemno-zielony kolor, a drzewa owocowe pokryły się białym kwiatem. Ludzie chodzili jakoś tak dziwnie radosni, szczególnie dzieci, które porzuciły standardowe naburmuszenie na rzecz wyższych priorytetów. Całe miasto ogarnęła wielka mania hitów na lato, szykownych kapeluszy, letnich sukienek i, właśnie – festynów. Przenieśmy się więc do jednego z owych cyklicznych wydarzeń. Pośród wszelakich elektrycznych cacek wywołujących w korzystających z nich przy-

jemne poczucie zagrożenia, jakże potrzebne cierpiącym na niedostatek podniet obywatelom postmodernistycznego świata, panował niewiarygodny wręcz hałas. Skrzywione oblicza nastolatków i starych panien migotały spośród zebranej na placu gawiedzi. Akrobaci wykonywali swoje spektakularne fikumiku a dzieciaki otwierały szeroko oczy i rozdziawiały usta, nie wierząc w oglądane przezeń dziwy. Pośród rozrywek znaleźć można było również takie, które promowały wśród młodzieży zdrową rywalizację. Jeden spośród młodocianych łowców, który postanowił z takich rozrywek skorzystać, właśnie radował się z „upolowanego” pluszowego dziobaka (wszak trwała lokalna uroczystość poświęcona ochronie tego gatunku) kiedy podbiegł do niego rozdygotany z ekscytacji kolega z klasy.

-Hej. Hej. Hej. Hej, hej. Hej! - wołał dźgając swego druha wskazującym palcem.

-Co? - chłopiec wpadł w rozdrażnienie.

-Cześć. - powiedział tamten. Chłopiec z dziobakiem uśmiechnął się. - Słyszałeś o Tajemniczym Szuruburze?

-Kim?

-Tajemniczym Szuruburze. Stoi w pasiastym namiocie i opowiada niestworzone rzeczy. Twierdzi, że ma dowody na podróże w czasie i przestrzeni! Chodźmy, strasznie się jaram! - ów zaaferowany chłopak cały trząśł się z wrażenia.

-Tajemniczy Szurubura? - chłopiec z pluszakiem w dłoni skrzywił się nieco. - Co to za imię?

-Młodzi Panowie! - w reakcji na głęboki, basowy głos zza pleców dzieci odwróciły się. -Właściwie to nazywają mnie Szurubura Tajmniczy.

Staął przed nimi człowiek, który dla kogoś o posturze wspomnianych chłopców śmiało mógł uchodzić za olbrzyma. Nosił szare spodnie, białą koszulę z muszką i kapelusz z szerokim rondem. Prawdziwe uosobienie kultury zza oceanu. Mężczyzna pstryknął palcem, wskazując jednocześnie w kierunku rozmówców, przy czym puścił w ich kierunku oczko. Następnie udał się do pasiastego namiotu. Chłopcy nie mogli ukryć konsternacji. Jedyne, co zdołał z siebie młody zdobywca wydusić to słowa „O kurka”.

-Rewelacja, rewelacja, podniet to moc i sensacja! Szanowni państwo, młodzi starzy, panie i panowie! - Szurubura wziął głęboki wdech. - Kto z was nie marzył o zgłębieniu tajemnic życia, śmierci i stanów pośrednich? Kto z was nigdy nie zapragnął zobaczyć czegoś, co przeczyłoby dotychczasowym przekonaniom na temat odwiecznych praw rzeczywistości? Któż z was nigdy nie poczuł zewu odkrywcy, nie zapragnął przebić się przez osnowę przestrzeni do zwiniętych tajemnych światów równoległych ukrytych przed nami, oddalonych o zaledwie długość małego palca? Czy to nie właśnie poczucie głębokiej dziwności świata napędzała nas do szalonych młodzieńczych zrywów? Czy to nie tajemniczość wszechrzeczy sprawiała, że czuliśmy, iż wszystko jest możliwe? Szanowni państwo, przebyłem daleką drogę przez równoległe wymiary, przez dziwne zakamarki, wielkie mgławice i podziemne otchłanie, poszukując opo-

wieści wartych opowiedzenia. Właśnie w czasie tych szalonych wojaży ponownie poczułem się młody i dzięki nim na opowieść o młodości właśnie nabrałem wielkiej ochoty. W moich opowieściach odnajdą państwo szaleństwo, dziwność, niedorzeczność, śmieszność, sztuczność skrywającą przewrotną prawdę i pozorny autentyzm, za którym jednak kryje się fundamentalny fałsz! Będzie tu miłość, będzie tu śmierć, będzie tajemnica i czary. Wojna i pokój, brzemię zniewolenia i zewolności! Będzie dużo słabych żartów specjalnie dla masochistycznych gustów smakoszy. Będzie też wiedza, jaką można wynieść ze wspaniałych annałów Królowej Nauk. Będzie też to, co, jak mawiają, „tygryski lubią najbardziej”, tak, zgadliście, EKPLODUJĄCE MÓZGI!!! Szanowni państwo, oto ekstraordynaryjna, niepowtarzalna:

Księga

Osobliwości

- Ach nie rwijcie się tak bardzo, na każdego przyjdzie pora!
- Grupa młodzieży zebrana na prawej trybunie wydała z siebie głośny dźwięk wiwatu.
- Nareszcie jakaś legitnie chora wizja! - zawołał młodzieniec przemawiając jako jednostka w imieniu zbiorowości. - Dawno czekaliśmy na jakąś zącą opowiadkę o eksplodujących mózgach!
- Wtem wtrącił się głos starszego pokolenia:
- Ale, ale! Ja akurat w ogóle nie lubię dziwnych rzeczy!
- Mhm, aha, hmm - staremu prawnikowi zawtórowały głosy aprobaty z drugiej trybuny.
- Taki na przykład Manuskrypt z Sargosu zupełnie do mnie nie przemawia. - kontynuował jegomość, emanując dojrzałością i zdrowym rozsądkiem. Niewyartykułowane słowa uzupełniające jego wypowiedź zdawały się mówić: „Pogódź się z tym, zaakceptuj to!”.
- Mhmhm, aha, hmmhm. - ponownie głosy aprobaty, na co jednak pierwsza trybuna reprezentująca świeżą bryzę ze wschodu, kwiat krajowej młodzieży, zareagowała oburzeniem!
- Czosnki jesteście i tyle!
- Czosnki!
- Cebule i czosnki!
- Ani trochę nie znacie się na dobrych opowieściach!
- Spokojnie, spokojnie! - rodzącą się na nowo międzypokoleniową wojnę zażegnał w zarodku Szurubura Tajemniczy. Jak mówiłem, będą dziwy, ale będzie też prawda, jak bowiem zwykłem powtarzać, moja opowieść jest prawdziwa, nawet, jeśli nie miała miejsca.

WYWIAD

„Nasza epoka sama w sobie jest ekologicznym wyzwaniem”

Z Patrycją Gryciuk rozmawia Marta Banaś.

Patrycja Gryciuk jest pisarką z Legnicy. Entuzjastka ekologii i idei slow-life, co zauważalne jest w jej twórczości. Łącząc elementy romansu i powieści sensacyjnej zadebiutowała powieścią **Plan**, której nakład został bardzo szybko wyczerpany. **450 stron** to jej druga książka, natomiast najnowsza powieść autorki – **Trzy godziny ciszy** – znalazła się w finale plebiscytu "Nagrody Literackiej dla autorki Gryfia". Została również uhonorowana pierwszym wyróżnieniem w Niezależnym Plebiscycie Literackim na Polską Książkę Roku 2017.

Czytając **Plan**, **450 stron**, a później **Trzy godziny ciszy**, zauważyłam ciekawą zależność jeżeli chodzi o wiek bohaterów. W debiutanckiej powieści między główną bohaterką Anną, a jej mężem Siergiejem jest dwadzieścia jeden lat różnicy. W drugiej powieści różnica wieku wynosi dziesięć lat, natomiast w trzech godzinach ciszy między bohaterami nie żadnej różnicy wieku, na dodatek urodzili się tego samego dnia. Czy był to celowy zabieg z Pani strony? A jeśli tak, to jakimi przesłankami się Pani kierowała?

Ludzie reagują różnie w zależności od wieku. Sama nie podjęłabym dokładnie tych samych decyzji teraz, w wieku 43 lat, niż kiedy byłam dwudziestolatką. Dlatego wiek moich bohaterów zawsze jest dokładnie przemyślany. Oczywiście nie tylko wiek decyduje o tym, kim jesteśmy, bo zdecydowanie bardziej decydują o tym nasze doświadczenia i czyny, ale precyzując wiek bohaterów, łatwiej jest czytelnikowi zrozumieć ich postępowanie i to, kim są.



W *Planie* różnica wieku jest duża i stanowi wręcz część historii. Myślę, że pewne zdarzenia z tej książki nie miałyby prawa bytu, gdyby Anna była dojrzałą kobietą albo Siergiej młodzieniaszkiem pokroju Lorcana. W *450 stronach* jest to mniej ważne, jednak różnica wieku między kochankami dodaje wyzwolenia głównej bohaterce, aczkolwiek nie jest elementem znaczącym dla fabuły. W *Trzech godzinach ciszy* fakt, że główni bohaterowie (cała trójka) urodzili się tego samego dnia, został użyty, aby wzmocnić ich ponadindywidualny i nierozłączny charakter. Oni są od początku jednym, stanowią

całość. Podsumowując, w moich książkach dobieram wiek bohaterów tak, aby podkreślić ich tożsamość i w pewnym sensie, uzasadnić ich postępowanie.

Już w 2013 roku, w *Planie*, poruszała Pani problem szeroko pojętej ekologii. Pisała Pani między innymi o nadmiernym konsumpcjonizmie, ochronie środowiska czy też wykorzystywaniu odnawialnych źródeł energii. Warto dodać, że główny bohater jest multimiliardem, który prowadzi badania nad wyprodukowaniem biopaliwa z alg. Z jednej strony jako właściciel ogromnej firmy stara się robić wszystko, by wpłynąć swoimi działaniami na polepszenie ochrony środowiska, lecz z drugiej strony jest tylko człowiekiem, a więc nie potrafi obyć się bez częstych podróży prywatnym samolotem oraz charakteryzuje go nadmierny konsumpcjonizm (nowe ubrania, droga biżuteria, drogie samochody i wiele posiadłości). Czy Pani zdaniem te dwie postawy wobec problemów świata nie stoją ze sobą w sprzeczności?

Oczywiście, że stoją. Proszę zauważyć, że Siergiej jest bardzo złożoną postacią. Prowadzi podwójną grę i nie tylko w stosunku do głównej bohaterki, ale również biznesowych i politycznych adwersarzy. Gra w kotka i myszkę praktycznie z wszystkimi i nie jest czysty jak łąza. Jako taki przynajmniej powinien się ukazać czytelnikowi pod koniec powieści, swego rodzaju krętacz i oszust, któremu zarówno główna bohaterka jak i czytelnik, dają mimo wszystko drugą szansę. W związku z tym, jest jak

pani pisze, żaden z niego sprzymierzeniec ekologii, skoro lata na codzien odrzutowcem, czy wydaje krocie na zbędne dobra (np. samochody). Siergiejowi tak naprawdę daleko do ideału. Być może było to zbyt mało dosadnie ukazane w pierwszej wersji *Planu*. Zaznaczenie tego będzie jedną z wielu poprawek w drugiej wersji, nad którą aktualnie pracuję.

Chciałabym odwołać się do słów Siergieja, który mówi: *Ekologia to nie tylko życie zgodnie z naturą, ale przede wszystkim próba jej ocalenia przed totalnym i nieodwracalnym procesem zagłady. Ekologia to ograniczanie się. A ludzie nie lubią tego słowa. Czy Pani zdaniem od momentu wydania książki w 2013 roku na przestrzeni lat zmieniło się coś w nastawieniu ludzi do ochrony środowiska, tak na poważnie? Czy można powiedzieć, że ludzie wzięli sobie do serca to magiczne słowo “ograniczanie”?*

Zdecydowanie nie. Środowiska idei slow life, slow food, życie bez odpadów, żywność z upraw ekologicznych czy zwykły minimalizm mają coraz więcej zwolenników, jednak daleko nam do rzeczywistości, w której staje się to głównym trendem. Nasza epoka sama w sobie jest ekologicznym wyzwaniem. Tak łatwo się klika kupując plastikowe pierdółki z Chin...

Chciałabym się jeszcze raz na moment odnieść do Pani pierwszej powieści. Moim zdaniem trudno zakwalifikować ją do konkretnego gatunku literackiego - coś, co na początku może się wydawać wyłącznie romanssem, z każdą kolejną

stroną zaczyna przekształcać się w pełen napięcia thriller, nie pozwalając czytelnikowi oderwać się ani na moment od szybko zmieniającej się akcji. Czy od samego początku planowała Pani właśnie w ten sposób łączyć różne gatunki literackie?

Tak. Zawsze mówiłam o tym w wywiadach, że nie lubię twardo osadzonych gatunków tradycyjnych i za wiele ciekawsze uważam pozycje, które czerpią z wielu jednocześnie. Co nie znaczy, że odrzucam klasyczne powieści. Mój wybór jest zdecydowany i osobisty. Piszę to, co sama chciałabym czytać. Chcę, żeby było dużo emocji i zaskoczenia nie tylko ze względu na akcję, ale też na formę.

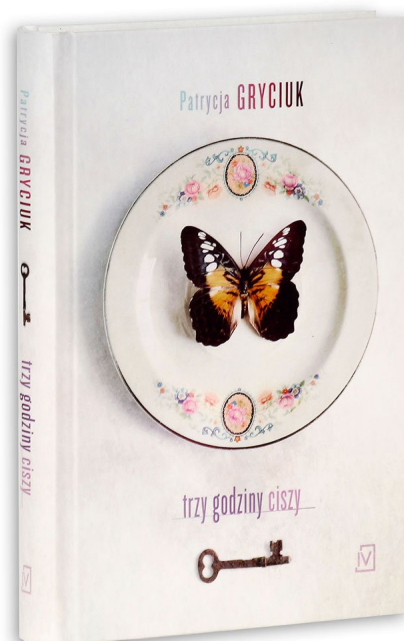
Czytając po raz pierwszy *Trzy godziny ciszy*, nasunęła mi się następująca refleksja: tytuł nawiązuje do Mickiewiczowskich *Dziadów części IV*, a dokładnie do trzech godzin, podczas których główny bohater Gustaw snuje opowieść, która może przypominać swoistą spowiedź z życia. Godzina rozpacz, miłości, a następnie przestrogi ukazują całe życie bohatera i zmusza go do licznych refleksji. Czy moje spostrzeżenie jest trafne i czy analogicznie można powiedzieć, że główna bohaterka Patrycja odbywa z czytelnikami spowiedź swojego życia?

To bardzo ciekawe. Nigdy o tym nie myślałam. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już

Dziadów i nie posłużyłam się tym wzorem, jednak porównanie według pani opisu jest możliwe. *Trzy godziny ciszy* są formą spowiedzi głównej bohaterki, bo ona choć nie otwarcie, to jednak wielokrotnie, próbuje się wytłumaczyć czytelnikowi lub sobie samej całą swoją przeszłość. Jest coś w tym zarówno ze spowiedzi jak i z refleksji nad sensem życia.

Na sam koniec chciałabym zapytać nad czym Pani obecnie pracuje? Ma Pani już w planach nową książkę?

Po dłuższej przerwie wznowiłam pracę nad drugą, poprawioną wersją *Planu* po polsku, jak i wersją angielską. Nowa książka na razie tworzy się tylko w mojej głowie i mam nadzieję, że któregoś dnia uda mi się ją przelać na papier.



RECENZJA

Kate Atkinson- „Jej wszystkie życia”

Edyta Fragsztajn

***Czas to konstrukt, w rzeczywistości wszystko jest w ciągłym ruchu,
nie ma przeszłości ani teraźniejszości, istnieje tylko chwila obecna***
(fragment książki)

“Wehikuł czasu - to byłby cud” - niemal każdy z nas doświadczył tej myśli w momencie, gdy okazywało się, że gdyby nie nasze niewielkie potknięcie z przeszłości, teraźniejszość malowała by się w zupełnie innych barwach... Jesteśmy jedynie w niewielkim stopniu świadomi jak bardzo nieznaczące gesty, słowa czy decyzje wpływają na bieg wydarzeń, które składają się na nasze życie. Z tego powodu kusząca wydaje się możliwość spojrzenia na nie w taki sposób, który ukazałby nam wszystkie możliwe konsekwencje. Jednak czy rzeczywiście byłoby to wybawieniem przed czekającymi nas rozterkami, czy też kolejnym problemem?

Odpowiedzi na to pytanie mogłaby nam udzielić główna bohaterka książki - Ursula, mieszkanka Fox Corner - podupadłego dworku w środkowej Anglii. Posiada ona unikalną umiejętność, którą najprościej zobrazować wyobrażając sobie specyficzny proces reinkarnacji - odradzanie się za każdym razem po śmierci w tym samym ciele - w momencie wyboru, który do tej śmierci doprowadził. I tak, dziewczynka umiera przy porodzie w 1910 roku, by w innej rzeczywistości utonąć w dzieciństwie, w kolejnej - zachorować na hiszpankę,



jeszcze w innej dożywa wieku dorosłego jako księgowa - zamężna bądź nie, posiadająca kochanka bądź przyjmująca obywatelstwo III Rzeszy. Za każdym razem doświadcza kolejnych perypetii, które niezwykle zmieniają jej postrzeganie świata i dostarczają wartościowych lekcji życiowych - dzięki temu jako czytelnicy mamy szansę na poszerzenie własnych horyzontów i odkrycie zaskakujących prawd o sobie samych.

Dopełnieniem intrygującej fabuły są barwne opisy, które pozwalają sobie wyobrazić świat sprzed wieku wstecz tak, jakby jawił się przed naszymi oczami. Autorka znakomicie oddaje również paletę emocji, które przeżywa główna bohaterka oraz towarzyszące jej postacie. Powstałe dzięki tym dwóm zabiegom sceny zdają się być autentyczne i przez to bliskie, mimo iż dotyczą wydarzeń odległych i osadzonych w innej mentalności. To wszystko sprawia, że lekturę pochłania się z zapartym tchem, niemal zanurzając się w rzeczywistości zachodniej Europy z okresu obu wojen światowych.

Jedynym niedociągnięciem, które napełniło mnie nutą żalu jest niedokładne trzymanie się prawdy historycznej, co skutkuje niejednokrotnie pojawianiem się wydarzeń mało możliwych gdyby chciano dokładnie je odtworzyć. Przykładem może być zachowanie mieszkańców Londynu w okresie bombardowań w 1940 - ich beztroska,

wizyty w kawiarniach czy hotelach niejako zaprzepaszczają pamięć o rzeczywistych okrucieństwach jakie spotkały miasto w tamtym okresie. Jednakże, potraktowana całość lektury jako zupełną fikcję literacką pozwala zapomnieć o tym, nieco niedopracowanym aspekcie i w pełni docenić jej przesłanie.

Sądzę, że historia Ursuli zaciekawi nie tylko osoby mocno zakorzenione w czytelnictwie, ale i takie, które z książkami są nieco na bakier, pozwalając na przełamanie tej pierwotnej niechęci. Być może zweryfikuje ona nasze chęci odwrócenia czasu, którego przy dzisiejszych możliwościach technologicznych nie jesteśmy w stanie cofnąć - a zamiast tego pozwoli w pełni docenić otaczającą nas rzeczywistość. Kto wie, być może decyzje podjęte w tym momencie rysują roztaczającą się przed nami światłą przyszłość, szczególnie mile widzianą w czasach globalnej pandemii i niepewności?

VARIA

Zanzibar przed pandemią – zapiski z pamiętnika

Honoriusz Morawiec

Dzień 1

Wczoraj w nocy wylądowałem w na Zanzibarze. Towarzyszyła nam burza. Miejscowi byli bardzo zdziwieni, że w porze suchej pada. Na szczęście po opuszczeniu lotniska przestało lać. Pojechaliśmy do Stone Town. W hotelu byliśmy około 2 w nocy. Zaraz położyłem się spać. Za mną 20 godzinna podróż. Wreszcie łóżko!!!

Dzień 2

Rankiem po śniadaniu pojechaliśmy do hotelu, który jest w północnej części wyspy. Niby niedaleko, ale drogi są kiepskie i jedziemy ok. dwie godziny. Hotel znajdował się w miejscu, gdzie nie ma drogi dojazdowej - jest klepisko i musimy kluczyć między domami. W wiosce nie ma nawet szutrowej drogi. Samochód czasami stawał, gdy zawieszenie blokowało się na wystającym głazie. Wsiadaliśmy z samochodu i pchaliśmy go. To była niesamowita podróż. Wreszcie docieramy do Matamwe. Popołudnie spędziłem kąpiąc się w basenie i w Oceanie Indyjskim.

Dzień 3

Dzisiaj nurkowaliśmy w oceanie i obserwowaliśmy rafę oraz kolorowe ryby. Po obiedzie postanowiliśmy udać się do wioski Kigomani aby rozdawać przybory szkolne przywiezione z Polski. Pomyśleliśmy, że damy prezenty dzieciom w szkole. Jedną-kże tego dnia szkoła była zamknięta. Przed wyjazdem czytaliśmy, iż Zanzibar

jest biednym regionem. Dowiedzieliśmy się, że szkoły mają problem z przyborami szkolnymi dla uczniów. Zdecydowaliśmy się na zbiórkę tych przedmiotów w szkołach. Mój brat zebrał wiele akcesoriów w swojej klasie, a ja kupiłem zeszyty i kredki.

Wyruszyliśmy do wioski, aby dać dzieciom prezenty. Przypuszczaliśmy, że na pewno kogoś spotkamy, bo dzieci często bawią się przed domami.

Był odpływ, więc poszliśmy plażą. Już tam spotkaliśmy grupę dzieci. Niektóre zbierały kraby, a niektóre łowiły ryby. Podbiegły do nas i przywitały się „Jambo, jambo”. Jak każdy na Zanzibarze powiedziały Hakunamatata czyli nie ma problemu. Pomyślałem, że tym młodym Zanzibarczykom porozdaje rzeczy, które miałem w plecaku. Dzieci pochodziły z ubogich rodzin. Niektóre były bardzo biednie ubrane, a część z nich w ogóle nie miało odzienia. Zrobiło mi się ich żal. Prezenty, które wyciągnęliśmy w postaci zeszytów, kredek i długopisów naprawdę sprawiły im radość. Na małych czarnych buziach zagościły ogromne uśmiechy i zobaczyliśmy białe zęby. Wszystkie dzieci były bardzo szczęśliwe, a my byliśmy dumni z siebie, że możemy komuś naprawdę pomóc. Obdarowywanie dzieci dawało nam duże zadowolenie. Zdałem sobie sprawę, że dawanie może być niesamowitym uczuciem spełnienia. Nagrodą dla mnie była radość tych malców.

Poszliśmy dalej do wioski i tam

również przybiegły do nas dzieci. Dostały od nas długopisy, również przybory szkolne w postaci kredek i zeszytów. Dzieci wrywały nam długopisy, więc poprosiłem tatę, żeby interweniował i pomógł nam rozdawać. Gdy podszedł tata to grupka uciszała się i spokojnie dawaliśmy wszystkie rzeczy, które mieliśmy w plecaku.

Jeden z chłopców mówił trochę po angielsku i chodził z nami po wiosce. Opowiadał nam o tubylcach. Dowiedzieliśmy się, że nie wszystkie dzieci mogą chodzić do szkoły, ponieważ rodziców nie stać na chesne czy też zakup zeszytów lub mundurka. Jeśli szkoły są bezpłatne, jak szkoły muzułmańskie, to i tak trzeba kupić przybory szkolne. Nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić ze względów finansowych. Rodziny są bardzo liczne, więc często tylko jedno lub dwoje dzieci chodzi do szkoły.

Gdy nowy kolega pożegnał się z nami to zdecydowaliśmy, że pójdziemy do restauracji. Kiedy tylko przeszliśmy kawałek to pojawiła się kolejna grupa dzieci. Mali Zanzibarczyki pokazywali różne sztuczki, byli bardzo wysportowani. Dziewczynki pięknie tańczyły. Jedna z nich sprawnie skakała na skakance -więc dałem jej zabawkę. Gdy siedliśmy w restauracji na tarasie zobaczyliśmy, że pod restauracją jest już pięć dziewczynek skaczących na skakankach. Uznały zapewne, że warto poskakać, bo to podoba się białym. Mieliśmy jeszcze cukierki to poszedłem z bratem rozdać je dziewczynkom.

W restauracji zamówiliśmy owoce morza i ryby. Niecierpliwie czekaliśmy na pyszne jedzenie, bo byliśmy już bardzo głodni po całym dniu pływania w Oceanie Indyjskim i spacerowaniu po plaży.

Okazało się jednak, że po pół godzinie przynieśli nam napoje, a po godzinie, powiedzieli, że przygotowują popcorn do spróbowania. Zaraz przypomniał nam sobie hasło miejscowych „pole pole” czyli powoli, powoli. Po półtorej godzinie, oznajmili, że mamy poczekać kolejne pół godziny, ale też przynieśli nam przystawkę z owoców morza, tj. krewetki i carpacio z ośmiornic. Bardzo smaczne. Jednak na kolację czekaliśmy prawie dwie godziny. Zrobiło się wietrznie, a także ciemno. Przynieśli jedzenie i w końcu mogłem cieszyć się pysznym daniem.

Nagle zgasło światło i było całkowicie ciemno bo w restauracji nie było generatora. Pomyślałem to jak „kolacja w ciemności”, coś takiego jak w Europie. Tylko w Polsce to rzadko organizują restauracje i trzeba dużo zapłacić. Jednak tutejsi kelnerzy stanęli na wysokości zadania. Każdy wyciągnął telefon i oświetlali nam nasze talerze. Pierwszy raz jadłem kolację w takich okolicznościach.

Po posiłku zobaczyliśmy, że przypływ już nadszedł i niestety nie mogliśmy wrócić do hotelu plażą. Kiedy kelner dowiedział się, że musimy wyruszyć do hotelu, postanowił nam pomóc. Po prostu poszedł z nami aby wskazać drogę, to była ciekawa podróż, ponieważ trwała około 25 minut prawie w całkowitej ciemności. Czasami oświetlaliśmy drogę naszymi telefonami. Niebo było całe rozgwieżdżone. Widok którego nie można zapomnieć. Tysiące, miliony gwiazd!

Powrót z naszym kelnerem był bardzo interesujący. Rozmawialiśmy zarówno o wiosce jak i o jego pracy. Oglądaliśmy gliniane domki, w których czasami paliły się małe światełka. Mijaliśmy domy, przed

którymi były rozpalone ogniska i mieszkańcy szykowali posiłek. Było to bardzo ciekawe. Kelner pokazał nam patyczaka. Sami nie zwrócilibyśmy na niego uwagi. Widzieliśmy wielkiego ślimaka. On naprawdę był ogromny jak dłoń mojego taty. Gdy szliśmyco jakiś czas słyszałem ptaki lub jakieś zwierzęta.

Dzień 4

Dzisiaj będzie świetny dzień, bo będziemy pływać łodzią i tropić delfiny, a może nawet pływać razem z nimi. Następnie będziemy podziwiać największą rafę koralową na Zanzibarze.

Zjedliśmy szybko śniadanie i poszliśmy prosto do wynajętej łodzi.

Okazało się, że nie wytropiliśmy delfinów. Więc popłynęliśmy oglądać piękną rafę. Wskoczyliśmy od razu do wody, mieliśmy płetwy i maski. Mogliśmy pływać i nurkować. Było super!! Niestety w wielu miejscach rafa była martwa. Jednak widzieliśmy też żywą, piękną i kolorową rafę. Przewodnik pokazywał i opowiadał co widzimy pod wodą. Ciekawie było zobaczyć po raz pierwszy w moim życiu, strzykwę czyli morskie ogórki denne, zobaczyliśmy również różne rodzaje żółwi, a także bardzo kolorowe ryby, które mogliśmy podziwiać. Pływaliśmy również między ławicami. Staralem się dotknąć ryb, ale nie było to łatwe, gdyż były płochliwe.

Po nurkowaniu udaliśmy się na inną wyspę, na której można było popływać do woli przy brzegu, bo nie było rafy i można było skorzystać z piaszczystego dna. Niestety trzeba było wrócić do hotelu, ponieważ odpływ był już w trakcie. Okazało się, że byliśmy w oceanie zbyt długo i cóż, było

bardzo płytko przy brzegu, nawet łódka ocierała się o rafę. Płynęliśmy bardzo powoli, co przedłużyło naszą cudowną przygodę, wróciliśmy do hotelu i mogliśmy skorzystać z basenu.

Dzień był uroczy, chociaż bardzo męczący. Cudownie spędziliśmy czas w wodzie przepływając przezkolejne ławice ryb. Podziwialiśmy piękną rafę koralową.

Następnego dnia mieliśmy odpocząć cały dzień przy basenie.

Dzień 5

A dziś był fantastyczny dzień, ponieważ mogliśmy cały czas kąpać się w morzu, pływać w basenie lub spacerować po plaży, a także podziwiać wspaniałe formy skalne, które powstały z rafy. Czytaliśmy książki i gazety. Mnie zaciekał artykuł o zanieczyszczeniu środowiska. I cały czas zastanawiam się, czy rzeczywiście medycyna rozwinie się tak szybko, że zapobiegnie negatywnemu wpływowi zanieczyszczenia środowiska na człowieka? Myślałem o Tanzanii i innych krajach Afryki, gdzie odpady z plastiku są wszędzie. Widziałem reklamówki na safari w Ugandzie czy pływające butelki niczym wysepki na Mauritiusie. Czy jako ludzkość poradzimy sobie z zanieczyszczeniem Ziemi?

Dzień 6

Dzisiaj przenieśliśmy się do innej wioski. Mamy wspaniały dom tuż nad brzegiem morza z basenem. Jesteśmy bardzo zadowoleni. Dom jest tylko dla nas, możemy cieszyć się odpoczynkiem i ciszą.

Przyszli do nas Masajowie i rozmawialiśmy. Pytali nas jak żyjemy i skąd jesteśmy. Ja pytałem jak oni żyją. Intere-

suje mnie ich los. Okazuje się, że przybyli z Tanzanii i tutaj pracują jako ochroniarze. Miejscowi twierdzą, że Masajowie nie śpią w nocy. Dlatego też pracują jako stróże nocni. Masajowie mówili, że nie potrzebują dużo snu, ale oczywiście sypiają nocami. Wielu Masajów ma przenośne małe sklepiki, a ich żony wytwarzają biżuterię, którą oni sprzedają. Cena początkowa jest bardzo wysoka, ale potem po targowaniu i za 10% ceny wywoławczej można kupić bransoletki. Masajowie mają dużo czasu, więc możemy spędzić z nimi popołudnie, to jest bardzo interesujące. Zdołamy również zweryfikować to, czego dowiedzieliśmy się wcześniej o Masajach. Jak opowiadali nam miejscowi Masajowie to ludzie, którzy są bardzo silni, bardzo męscy i wojujący. Aby stać się prawdziwym mężczyzną, młody chłopak musi zabić lwa. Podobno mają 7 żon, a także 50 dzieci. Powiedzieliśmy Masajom, co mówią o nich Zanzibarczycy. Masajowie śmiali się, a potem wyjaśnili, że obecnie nie zabija się lwów.

Kabiwa powiedział, że w jego rodzinie od kilkunastu lat żaden chłopak nie zabił lwa, ponieważ obecnie jest więcej Masajów niż lwów. Dodał, iż w przeciwnym razie turyści nie mieliby co oglądać na safari. Zapytałem o liczbę żon w jego rodzinie. Odpowiedział, że niestety utrzymanie żony jest kosztowne. I nie stać ich na kilka żon. Często sami mieszkają lub mieszkają w grupie kolegów, a następnie wysyłają pieniądze rodzinie do Tanzanii kontynentalnej. Tak więc obalony został mit Masaja, który mają Zanzibarczycy.

Zdecydowaliśmy się na pływanie z delfinami, a następnego dnia pójdziemy tropić delfiny. Może tym razem uda się.

Dzień 7

Dzień zacząłem się już o 5:00 rano. Szybko wstałem i ruszyliśmy do naszego minibusa. Pojechaliśmy do Kizimkazi.

Wsiedliśmy na łódź. Płynęliśmy między łodziami rybaków. Obserwowałem jakie wielkie ryby nosili z łodzi na brzeg, gdzie odbywał się targ rybny. Dwóch rybaków niosło 3,5 metrową rybę. Jeszcze nigdy takiej nie widziałem! Nagle silnik przestał działać. Dobrze, że byliśmy niedaleko brzegu. Okazało się, że nasz motor jest zepsuty i musieliśmy go wymienić. Zawróciliśmy, a rybacy popychali naszą łódź i jakoś dopłynęliśmy do brzegu, wymieniliśmy silnik i popłynęliśmy tropić delfiny. Obawiałem się, czy ten silnik będzie dobry? To była nasza pierwsza przygoda.

Na szczęście okazało się, że silnik działał, a łódź radziła sobie dobrze na dużych falach (ok. 3m)

Po pół godzinie już pływaliliśmy z delfinami. Dzięki temu, że byliśmy rano można było pływać samemu z dzikimi delfinami i podziwiać te piękne ssaki.

Przewodnik powiedział, że gdy powie skacz to trzeba od razu wskoczyć do wody, ponieważ delfiny są bardzo szybkie i mogą po prostu nie zostać zauważone przez nas. Gdy tylko zobaczyliśmy delfiny, które skakały nad wodą szykowaliśmy się do skoku. Zakładaliśmy maski i czekaliśmy na komendę: „skacz”. Sternik przemykał obok delfinów i wyprzedzał je, a potem skakaliśmy. One dopływały do nas. Tropiliśmy delfiny przez około 3 godziny, było to niesamowite wrażenie. Nie będę mógł o tym zapomnieć przez wiele tygodni.

Sternik sprawdził, że mamy już mało

paliwa w zbiorniku i musimy wrócić. Fale były ogromne, nasza łódź ledwo sobie poradziła. Płynęliśmy bardzo powoli. Po około 20 minutach napotkaliśmy inną łódź z muzułmańską rodziną. Załogi naszych łodzi postanowiły ścigać się. Płynęliśmy bardzo szybko omijając rybackie łodzie. Jednak w tym samym czasie dotarliśmy do brzegu. Pokiwaliśmy do siebie i ruszyliśmy na parking. Naszym minibusem z serdużkiem WOŚP pojechaliśmy na śniadanie.

Dzień 8

Autostopem pojechałem z rodziną do Paje. W sklepach z przyprawami napotkałem naszego polskiego „Kucharka”. Ale świat uległ globalizacji!

Jednak przyjechaliśmy tutaj aby znaleźć szkołę, ponieważ ja z bratem Tymkiem postanowiliśmy rozdać w szkole pozostałe przybory szkolne przywiezione z Polski. Nauczycielki i dzieci bardzo ucieszyły się, gdy zobaczyły wypakowane prezentami nasze plecaki i torby. Weszliśmy do pierwszego pomieszczenia. Klasa była bez szyb dzięki czemu było w salach przewiewnie. Dzieci było ok. 45 w jednej klasie. Trafiliśmy do szkoły muzułmańskiej. Dziewczynki podobnie jak nauczycielki były ubrane w chusty. Klasa była koedukacyjna. Wyjęliśmy zeszyty i rozdawaliśmy dzieciom. Piórniki chcieliśmy dać najlepszym uczniom, ale nauczycielki po prostu otworzyły piórniki i rozdawały dzieciom po jednej kredce, gumce czy długopisie. Każdy uczeń był szczęśliwy, że dostał chociaż ołówek. Radość dzieci była niesamowita. Dziękowały nam bardzo. W kolejnej klasie także otworzyłem paczkę kredek i każdemu dziecku dawałem po jednej. Mój brat ro-

zdawał mazaki. Dzieci skakały z radości. Wzruszyły nas te sceny. Jak zobaczyliśmy, że klasy są tak liczne to myśleliśmy, że nie wystarczy nam przyborów szkolnych dla wszystkich uczniów. Jednak system podziału a la Zanzibar sprawdził się i sprawiliśmy przyjemność wszystkim dzieciom. Mam nadzieję, że ludzi dobrej woli przybywa na Zanzibarze i edukacja będzie doceniona przez miejscowych.

Dzień 9

Spędziłem dzień spacerując po plaży. W basenie doskonaliłem umiejętności pływackie i pokazywałem bratu nawroty koziółkowe. Jutro jeszcze Stone Town i trzeba myśleć o powrocie do domu.



Pusta kartka

Daria Klyta

Ponownie, tak jak robię to już od kilku dni, może tygodni, przechodzę przez spowity ciemnością dom. Dom, w którym spędziłem ponad pół wieku. Dom, w którym moja rodzina wychowuje się od pokoleń. Dom, który stał się świadkiem najważniejszych momentów w życiu całej mojej rodziny. Stare i znoszone kapcie delikatnie suną do przodu w takt powoli stawianych przeze mnie kroków. W końcu dochodzę do bocznej izby, mijam próg. Myślę: „Tak, to mój azyl”. Ten charakterystyczny zapach drewna i aura spokoju sprawiają, że miejsce jest jedyne w swoim rodzaju. Ruszam w głąb i zaświecam małą lampkę na końcu mahoniowego biurka. Przyjemne ciepło rozlewa się po szarym pokoju, oświetlając część, w której stoję. Ostrożnym ruchem odsuwam mały taboret na trzech nóżkach; siadam, swobodnie opieram przedramiona, a mój wzrok pada na tajemniczą rzecz spoczywającą płasko na drewnie.

Myślę o niej przez cały dzień, a także całą noc, której nie potrafię obecnie spokojnie przespać – właśnie przez nią. Pusta kartka. Powód moich katuszy. Zwyczajny fragment papieru, niezapisany. Leży samotna, oddzielona od swoich sióstr schowanych w jednej z szuflad sekretarzyka. Ten biały, choć lekko pożółkły (z powodu upływu lat) prostokąt fascynuje mnie. Ilekroć próbuję zapisać, ba!, zbliżyć pióro, przemawia do mnie. Każe mi cierpliwie zaczekać, przemy-

śleć kolejny raz wszystko od nowa, a ja – posłusznie ulegam jej nakazom. Ręka zastyga z piórem, a przez moją pamięć przewijają się obrazy. Najróżniejsze. Od początku do końca. Wszystkie starannie i dokładnie odmalowane. Suną nieśpiesznie, pokazując moje dzieciństwo – zabawy z kolegami w sadzie, pierwszą przejażdżkę rowerową, niedzielne krzątanie się domowników przed mszą. Następnie widzę, jak staję się mężczyzną – pierwsze bójkę i miłostki, wstąpienie do wojska i poznanie Marusi. Ach, jakie to wspaniałe wspomnienia! Dalej, nasz skromny ślub oraz narodziny Bogusi, jej pierwsze lata życia. Nadal pamiętam, kiedy siadała mi na kolanach i bawiła się guzikami kamizelki! Potem pojawia się Jaruś; co z niego był za urwis! Niestety kolejne ikony nie są już tak radosne – ciężka choroba matki. Po długich zmaganiach odeszła, jej organizm nie mógł dłużej walczyć. Moje oczy mokre od łez spływających po policzkach rozświetla wizerunek szczęścia dzieci – zakładają własne rodziny, a nasz klan się powiększa. Słysząc nawet uderzenia małych stópek w kuchni...

Ostatecznie film urywa się, a ja oszołomiony natłokiem emocji nie potrafię nic uczynić. Chwilę zajmuje mi powrót do rzeczywistości, lecz kiedy z powrotem spoglądam na kartkę, odkładam pióro, biorę kilka głębszych wdechów (które w moim przypadku zawsze kończą się kaszlem) i odkładam ją, nadal czystą, do reszty kompanii.

Teraz spoczywa w dolnej szufladzie, czekając, aż wyjmę ją znowu: jutro o tej samej porze. Stopniowo wstaję, wsuwam taboret pod stoliczek, gaszę lampkę i na wiotkich nogach kieruję się w stronę pomieszczenia z kominkiem.

Gdy tam docieram, usadawiam się wygodnie w fotelu o oliwkowej tapicerce (przez tyle lat narzekań żony zdążyłem się nauczyć, że nie jest to zielony) i spoglądam na rozgrzany kominek. Moje rozważania wracają do pustej kartki; zadziwia mnie jej siła, to, w jaki sposób na mnie działa, jak jestem jej uległy. Jest tak niepozorna, łatwa do destrukcji, martwa, a jednak posiada ogromną władzę. Ma w sobie iskrę życia. Zastanawiam się, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim zapiszę na niej choć jedno słowo...

Białowieża

Marta Pokluda

Była godzina 16:15, 22 sierpnia 2020 roku. Przemierzając wąskie uliczki wschodniej Polski, wyglądałam z zainteresowaniem przez tylną szybę samochodu. Droga, a raczej ścieżka, którą jechałam usłana była dziurami i wychylającymi swoje główki znad żwiru - chwastami. Otaczały ją złociste pola i fioletowo-różowe łąki. Gdzieś niedaleko, bez trudu, można było zauważyć sarny i dziki przemykające między drzewami w poszukiwaniu schronienia przed gorącym, zachodzącym słońcem. Przekraczając znak z napisem "Białowieża" poczułam się tak, jakbym cofnęła się w czasie o kilkadziesiąt lat. Przede mną roztaczał się zapierający dech w piersiach widok - kilkanaście starych, małych, drewnianych, skąpanych w słońcu chat, otoczonych było wielokolorowymi ogrodami. Wioska wyglądała niczym z obrazka. Słupy energetyczne zwieńczone były bocianimi gniazdami. Ciepło wlewające się przez otwarte szyby samochodu dawało znać, że zaczął się upalny sierpień. Miasteczko początkowo wydawało się być puste i niezamieszkałe. Jednak gdy przyjrzałam się dokładniej, niemalże w każdym z ogrodów, wśród drzew i krzewów, zauważyłam mieszkańców. Miałam wrażenie, że trafiłam do miejsca wyjątkowego, w którym zatrzymał się czas.

Następnego dnia, wybrałam się na wycieczkę rowerową. Pogoda od samego rana zaskakiwała - poranek był upalny - zapowiadał się gorący dzień. Jadąc czułam jak wiatr rozwiewa moje włosy i smaga



moje policzki. Wydawało mi się, że wkraczam w tajemniczo zielony, nieodkryty teren - zieleń otaczała mnie z każdej strony. Byłam zaskoczona pięknem Polski. Ptaki wyśpiewywały melodię w koronach drzew, a dzięcioły z rozmachem stukwały w drzewa, zrzucając z nich odłamki kory. Tego dnia brakowało jedynie niezastąpionej i wyczekiwanej obecności żubrów - królów puszczy. Rowerem pojechałam nad jezioro Topiło, które okazało się być jednym z najładniejszych miejsc w okolicach Białowieży. Lilie wodne tworzyły wzory na jego tafli, kaczki pływały między zaroślami, a nieliczni turyści zagłębiali się w odgłosy natury, wydobywające się z otaczającej to miejsce puszczy.

Kolejnym przystankiem tego dnia była cerkiew św. Braci Mahabeuszów w centrum oddalonej o kilkanaście kilometrów od Białowieży - Hajnówki. Po kilkudziesięciominutowej podróży dotarłam na miejsce. Słońce, wyjątkowo gorące, oświetlało budoowlę jasnym światłem. Drewniana świątynia z niebieskim dachem i okrągłymi, błęki-



tnymi wieżyczkami kontrastowała z lekko zachmurzonym niebem. Biel elewacji stanowiła idealne połączenie z pozostałymi częściami budowli. Cerkiew, widocznie jeszcze nieodkryta przez turystów, stała pośród drzew, rzucając cień na pobliską ulicę. Wpisywała się delikatnie w otaczający ją krajobraz. Dochodziła godzina 13:00, a miasteczko sprawiało wrażenie niezamieszkałego - ulicą przemknął cicho jeden samochód; chodniki były puste. Nawet urząd gminy wydawał się być najspokojniejszym miejscem, mimo środka tygodnia. Widok ten był niezbyt optymistyczny, tym bardziej, że mieszkańcy tego miejsca zdawali się wyjątkowo podejrzliwie patrzeć na turystów. Rzadko spotykali tutaj przybyszów z innych części kraju, dlatego byłam traktowana z zaciekawieniem i nadzwyczajną ostrożnością. Odwróciłam głowę od cichych uliczek i pojechałam z powrotem do Białowieży, wybierając drogę przez las. Drzewa porośnięte mchem, szumiały na wietrze, kładąc swoje gałęzie na asfaltową drogę. Wsluchując się w dźwięki puszczy zwracałam uwagę na dziesiątki przyspiewujących ptaków i grające świerszcze, których odgłosy zawsze wywołują na mojej skórze gęsią skórę.

Kolejnego dnia, przed opuszczeniem miejsca noclegu, odbyłam rozmowę z mieszkanką Białowieży.

- Piękna jest tutaj puszcza - powiedziałam do niej.

- Piękna? Proszę pani, piękna puszcza była 15 lat temu. Teraz puszcza umiera, nie jest już taka sama jak była kiedyś - odpowiedziała.

- Ta puszcza nie ma porównania z lasami na Śląsku. Tutaj jest pięknie - skomentowałam.

- Ach, powiem pani, że ci rzekomi europejscy ekolodzy niszczą nasze lasy - kontynuowała.

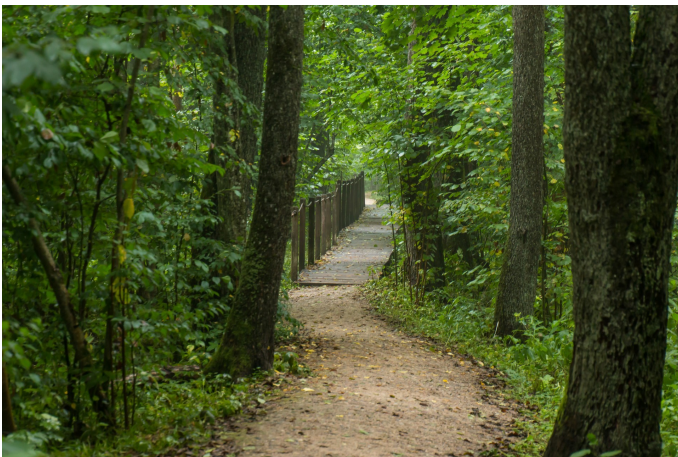
- Myślałam, że ekolodzy wykonują słuszną pracę - powiedziałam.

- Co my tutaj przeżyliśmy z ekologami! Mówili, że drzew wycinać nie możemy, dlatego od lat kornik drukarz pustoszy białowieską puszcę. Teraz nasze lasy są inne, kiedyś puszcza była piękna - zakończyła. A ja postanowiłam nie przedłużać trudnej rozmowy.

Nie spodziewałam się takiego stanowiska mieszkanki Białowieży. Zawsze byłam zdania, że ekolodzy prawidłowo wykonują swoją pracę i dzięki temu ratują setki lasów na świecie. Jednak, jak się okazało, mieszkańcy terenów, na których znajduje się puszcza, są sceptycznie do nich nastawieni. Po dającej do myślenia rozmowie, wsiadłam na rower i pojechałam zwiedzać uliczki wioski. Zadumana mijałam białowieskie chaty. Kolorowe kwiaty i lekko powiewający wiatr nadawały letniej i wyjątkowej atmosfery ulicom. Było południe, na chodnikach nie było nikogo. Okna domków zdobiły strojne firanki, wokół nich z łatwością można było zauważyć złocisto-brązowe ornamenty; da-

chy często pokrywała strzecha. Z malutkich balkoników zwisały doniczki pełne wielokolorowych kwiatów, do okienek wkradał się zielonkawy bluszcz. Mieszkańcy biesiadowali przy niewielkich drewnianych stolikach, od czasu do czasu śmiejąc się. Sprawiali wrażenie osób zadowolonych, szczęśliwych, beztrąsko żyjących chwilą. Spoglądając na otaczający mnie krajobraz, wiedziałam, że to miejsce jest moim ulubionym. Było urokliwe i pełne miejscowego folkloru. Nie mogłam doczekać się nowego dnia.

Poranek przywitał mnie ponownie jasno wschodzącym, gorącym słońcem. Wsiadając do samochodu, myślałam o zbliżającym się zwiedzaniu meczetu w Kruszynianach. Po dwóch godzinach jazdy przez otoczone polami drogi, dotarłam na miejsce. Budowla była zielona - prawie niewidoczna wśród szumiących, wysokich drzew. Jej strzeliste wieżyczki zwieńczone były złotymi księżycami. Białe drzwiczki zachęcały do wejścia. Widoki były zaskakujące - z jednej strony, pomiędzy drzewami wznosiła się świątynia prawosławna, z drugiej meczet muzułmański. Obydwie budowle, skąpane w blasku słońca dopasowywały się do naturalnego, dzie-



wiczego krajobrazu. Cmentarz muzułmański, ukryty wśród drzew i krzewów, dodawał tajemniczości Kruszynianom.

Jeszcze tego samego dnia udałam się w stronę ścieżki Żebra Żubra - położonej w samym środku Puszczy Białowieskiej - długiej kładki w kształcie żeber, będącej najważniejszym punktem edukacyjnym Białowieży. Długi spacer po kładce był najpiękniejszą częścią wycieczki. Szłam, przyglądając się ogromnym starym drzewom, słuchając śpiewu ptaków, wydobywającego się z gęstych koron liściastych drzew i szelestu runa leśnego, po którym przemykały cicho, niczym niezagrożone, dzikie zwierzęta. W pewnym momencie, zauważyłam żubra poruszającego się wśród drzew. Był ogromny, ciemny jak gęste otoczenie puszczy; skubiąc trawę nawet nie zauważył kilku turystów, którzy starali się uwiecznić go na fotografii, by pozostał nie tylko w zakamarkach ich pamięci. Zapatrzony przed siebie, nagle odwrócił się do mnie tyłem i ruszył, by przemierzać bezkresny las. Był zwieńczeniem całej podróży - stojący wśród gęstych drzew białowieskiej puszczy, był widokiem, na który czekałam od kilku dni.

Słońce zaczęło chować się za horyzontem, a ja, pakując walizki do samo-

chodu, myślałam o wydarzeniach poprzednich dni. Białowieża okazała się miejscem nie tylko pięknym pod względem walorów przyrodniczych, ale również czarującym, ze względu na wyjątkową architekturę, niezwykłą lokalną kulturę i folklor. Nie sposób nie wspomnieć o przepysznych tradycyjnych daniach, które smakowałam każdego dnia po trudach zwiedzania, tj. kartacze, babki ziemniaczane, solianki, a na deser - marcinki i sękacze.

Odkryłam jedną z najurokliwszych i najbardziej dziewiczych części kraju - miejsce, gdzie czas przed laty zatrzymał się, a ludzie żyją beztrudnie, z dala od zgiełku wielkich miast.

Wiatr zahuczał, lecąc między domami i przymykając okiennice. Opuszczałam małe miasteczko ze smutkiem, wiedząc, że będę chciała odwiedzić je ponownie i na nowo odkryć jego piękno. Mimo wszystko, miałam dobry humor - uśmiechałam się, ale jednocześnie powstrzymywałam łzy napływające do moich oczu. To ostatnie spojrzenie...



Dzienniki Szkolne

Przedostatni ferii dzień pochmurnym jest bardzo. Rozwesela go wiadomość na telefon wysłana i informująca, że 'W ramach odpoczynku wybrałam się na spacer i macham panu'. Przez okno spoglądam i... Rzeczywiście: uśmiechnięta buzia w czerwonej czapie, postać w zielonym płaszczku z pieskiem zaczepno-obronnym na smyczy, macha do mnie. Wyróżnionym się poczułem wielce i docenionym! Chmury jakby się rozwiały były a wichry w głowie zamilkły...

Dzień pierwszy po-feryjny. Zdawałoby się, że wszyscy w euforii i wypoczęci... A jednak czas wolny strasznie poniewiera i męczy. Ja z kolei jak młody Bóg, no może bóg...

Wpada znów absolwentka Ka., która rodzicielkę swą ujrzawszy, w szafie portiernianej się ukryła. Od tygodni dwóch nie zdążyła jeszcze poinformować o studiów rzuceniu.

O tej i innych aferach miło było rozmawiać w towarzystwie nie tylko Ka., ale i Meksykanki, i Kardynała: ten knuje plan wywołania zawieruchy, którą nazwać będzie

można 'gównoburzą', choć mało francusko i dostojnie to brzmi (w przeciwieństwie do pieśni, którą pod nosem podśpiewuje). Szukam argumentów, żebym w obronie jego i hrabiego mógł stanąć.

Międzylekcyjnie zbieram komplementy (pozdrowienia dla kumatych). Może osoba ma nie tak bardzo podłą jest? Jeszcze trochę, a zacznę w to wierzyć. Dziś serce od słów uczniowskich rośnie!

Kiedy kolejna Herbatka?

Dzień anarchii nadchodzi. W szkole nazywany jest dniem samorządności. Pierwsza potyczka wśród młodzieży o temat przewodni na przebrania. Po ustaleniu, że to serialne inspiracją być mają, zaczyna się spór o filmu adekwatnego wybór. Nie może wszakże być banalny, ani marginalny, chociaż zbyt skomplikowany też być nie powinien, bo po co komplikować. Kłótnie, spory, a ci, którzy by najwięcej powiedzieć chcieli, niewiele do zaoferowania mają, przy czym słów "ustępstwo" i "zgoda" także nie pojmują. Piszą później o mnie w internecie, że się wściekłem byłem.

A tak, bo każdy rozsądny ma granicę wytrzymałości w słuchaniu niedorzeczności.

Słuchać wolę o współczesnych klasykach, których nazwisk ni muzyki nie kojarzę.

To moje pędzla i żyłki porzucenie emocje wzbudza - nie wiedzieć czemu. Dziś hrabia Stołakowski i Szefer wszystkich prezesów nagle z lekcji wybiegli i wróciwszy po chwili krótkiej, przynieśli lustro, sztalugę i sprzęt

różnisty do zarostu golenia. Krawaty i koszule ściągnawszy, przystąpili do objaśniania technik pielęgnacji i strzyżenia szczeciny, brody i wąsów. Sztukę i przyjemność nam tym niemałą uczynili. Bardzo ta inicjatywa i kreatywność do gustu mi przypadły. Inni film późniejszą porą oglądając, również pochlebnie się wypowiadali.

Członkowie Klubu pod Pisuarem skarżą się, że ich dawno nie odwiedzał. Rozmyślałam, czy słów nie pomylili, chcąc rzec "nie nawiedzał"... Skoro nalegają...

Dziś wspiałem się na wyżyny, to znaczy na piętro, gdzie gabinet Prezesa szkoły i jego druhów się znajduje. Wtargnąłem do tegoż (gabinet mam na myśli), zająłem miejsce vis-a-vis wejścia i napisem na kartce ogłosiłem, że strajk okupacyjny byłem rozpocząłem. Prezes spytał 'co się wydarzyło'. Nie potrafiłem na pytanie jego odpowiedzi udzielić.

Interwencja ma może skutek odniesie i może 'będzie się działo'.

Scena jak wyżej, ujęcie nieco inne

Wkraczając dziś w mury *Institutia Minor Julio Sclavino* nie spodziewałem się, że spotka mnie tu coś zajmującego, poza rozdzierającym bólem głowy. Jednak powiadomiony o tym co ma nadejść, porzuciłem płonne nadzieje na spokojny dzień i pośpiesznie udałem się do Centralnego

Komitetu Nierządu. Nieczęsto wszak widuje się Znanego Iberystę w tym pochłoniętym monarchistyczno-samorządowym chaosem, oderwanym jakby od tego co dzieje się dookoła, skrawku rzeczywistości. Tym razem siedział rozkraczony. W rękę jego widniała kartka, na niej napis. Odwołując się do myśli separatystycznej podkreślał niezależność *Iberii* od reszty *Institutii*, a tym bardziej Komitetu, a także powagę sytuacji. Ujrzawszy nietęgę minę Sekretarzy Drogowego i Konponego, wzrokiem pełnym politowania omiotłem charakterystyczny dla Komitetu nie(po)rzadek, spowodowany tym, co wychodzi mu najlepiej. Zaniedbanie. Gdy Iberysta werbalnie komunikował myśli, na które Sekretarzy próbowałem naprowadzić w ostatnich miesiącach, nie mogłem powstrzymać złośliwego uśmiechu, więc czym prędzej opuściłem gabinet przy okazji pokazując Surrealiście scenkę rodzajową. Komitet zmobilizowany na co najmniej 12 godzin i czerwony (tym razem ze wstydu) ubolewa nad stanem rzeczy, którego nie spróbuje zmienić. Kontrrewolucja pełna zażenowania zaprzestaje działań i rusza do Klubu. A Monarcha, z którym przyszło mi rozmawiać parę godzin później, nie wiedząc o zajściu za jego progiem, wyraził zaniepokojenie bieżącym przebiegiem Nierządów. "I gdy płomień już dogaśnie w zgliszczach się wyłoni obraz/ Kiedy po mnie i po wszystkim tak niewiele już zostanie/" .

~Kardynał

CZEKAMY NA WAS

